

NARODOWE CENTRUM POLSKIEJ PIOSENKI
MAGAZYN BEZPŁATNY
ISSN 2299-6273

#18

MiC

MUZYCZNY INFORMATOR CULTURALNY

Umarł rock, niech żyje jazz? / Podsumowanie muzyczne roku
Christmas songi na opak / Szafa Grająca: Dead Can Dance





Łączymy koncertowo

spis treści

MUZYCZNY INFORMATOR CULTURALNY #18

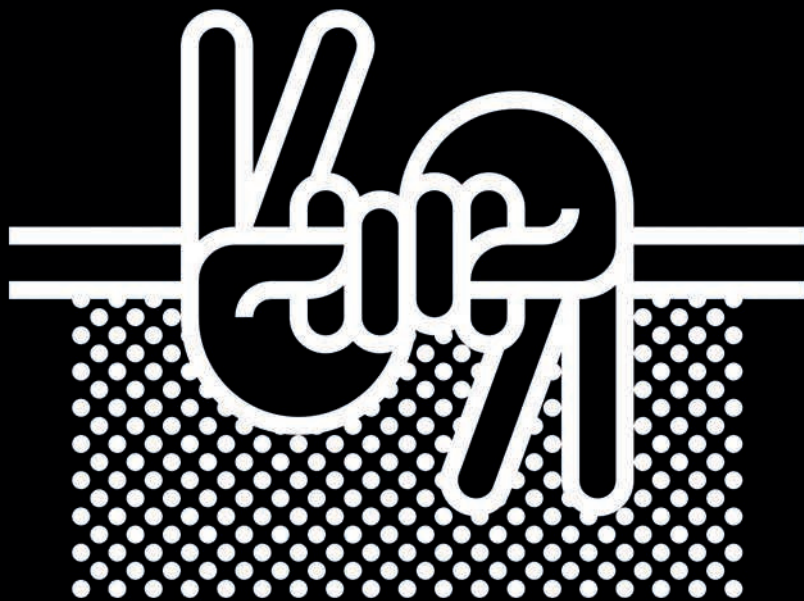
Narodowego Centrum Polskiej Piosenki



Wstępniak <i>str. 5</i>	
	Shorty Newsy, plotki, ploteczki <i>str. 6</i>
Umarł rock, niech żyje jazz? <i>str. 8</i>	
	Christmas will break your heart, czyli jak przywrócić równowagę wszechświata <i>str. 10</i>
Szafa Grająca Dead Can Dance – The Ubiquitous Mr. Lovegrove <i>str. 12</i>	
	Galeria Zdjęcia z imprez NCPP <i>str. 14</i>
Podsumowanie muzyczne roku <i>str. 16</i>	

MIC w formacie PDF do pobrania również na naszej
stronie internetowej www.ncpp.opole.pl

L A O



C H E



KONCERT **09.03.2019** SALA KAMERALNA NCPP

// Wstępniak

Koniec roku, święta, ale też czas podsumowań (oraz, rzecz jasna, buńczucznych noworocznych planów i założeń) zbliżają się wielkimi krokami, więc i MIC, którego oddajemy w Wasze ręce, ma charakter podsumowujący. Staramy się tym samym w osiemnastym jego wydaniu zerknąć wstecz i spośród gąszczy 12 miesięcy i niezliczonej ilości premier płytowych wybrać kilka specjalnie wartych uwagi. Zawsze jednak podkreślamy, że nie jest to ranking czy podium, tylko subiektywny przegląd tego, na co naszym zdaniem warto także zwrócić uwagę. Co więcej, mamy taką zasadę, że o płytach, o których pisaliśmy w dziale „Zaleca się” w poprzednich MIC-ach, w końcoworocznym numerze nie wspominamy. Żeby tego było mało, swoje zestawienia musimy napisać o wiele wcześniej, niżbyśmy sobie tego życzyli i wymagałaby tego dziennikarska rzetelność. Powód jest bardzo prosty i wynika z faktu, że jeśli magazyn ma trafić w Wasze ręce w pierwszej połowie grudnia, to my musimy skończyć pisać teksty w drugiej połowie listopada, potem są redakcje i korekty, składanie czasopisma, korekty, poprawki, korekty, druk, kolportaż i ani się obejrzyysz, a pada śnieg i jakiś palant zaparkował ci czerwone sanie na chodniku, gdzie jak byk stoi zakaz. Ale co zrobisz? Święta, czas życzliwości, więc nie naklejasz karnego, nie dzwonisz na policję,

nawet nie czekasz, żeby zrobić mu pogadankę albo sparing, bo przecież – cholera – czas życzliwości i wyrozumiałości. Dlatego też nie traktujcie MIC-owego podsumowania zbyt serio, jak jakiegoś rankingu najlepszych płyt 2018 roku, a raczej jako propozycję wartą poznania, bowiem – śmiem twierdzić – kilka z wymienianych albumów mogło umknąć waszej uwadze.

MIC, którego trzymacie w rękach, jest wyjątkowy także z jeszcze jednego powodu: jest to ostatni numer, w którym będziecie mogli przeczytać „Szafę Grającą”, tym razem traktującą o Dead Can Dance. Ale nie lękajcie się, szykujemy coś w zamian, coś nowego, dlatego możecie spać spokojnie, 2019 rysuje się – przynajmniej w przypadku Muzycznego Informatora Culturalnego – w świetlistych barwach. Tymczasem raczcie się tym, co dla Was przygotowaliśmy, i przyjmijcie najlepsze świąteczne i noworoczne zarazem życzenia.

Marek Szubryt



Kłeska urodzaju

Pod względem koncertowym i festiwalowym rok 2019 szykuje się wyjątkowo okazale. Do Krakowa, Warszawy, Łodzi, Wrocławia i wielu innych miast Polski zawita czołówka światowej sceny muzycznej. Dla każdego coś miłego: Nicki Minaj lub Laibach, Elton John i Rammstein, Metallica albo Enrique Iglesias. Do tego Lenny Kravitz, Florence and The Machine, Dead Can Dance, Phill Collins, Kiss, Muse i tak dalej, i tak dalej... Nawet Backstreet Boys przyjadą, tak że organizatorzy koncertu grupy Bon Jovi pewnie cali w strachu.

Marek Szubryt



Żeby tylko tego nie...

Pod koniec listopada w sieci pojawił się teledysk *Call Me in The Morning*, który oficjalnie zapowiada powrót przewodzonego przez Mike'a Skinnera projektu The Streets. Lata mijały, a Brytyjczyk zarzekał się, że nie zamierza wracać do tego, co było, ale wspomniany wcześniej utwór, na którym w gościach pojawili raperzy Chip i Grim Sickers, oraz wywiad dla „Q Magazine” nie pozostawiają niedomówień i oficjalnie kończą okres smuty. Data wydania albumu zapowiedziana jest na rok 2019. Oby warto było czekać.

Marek Szubryt

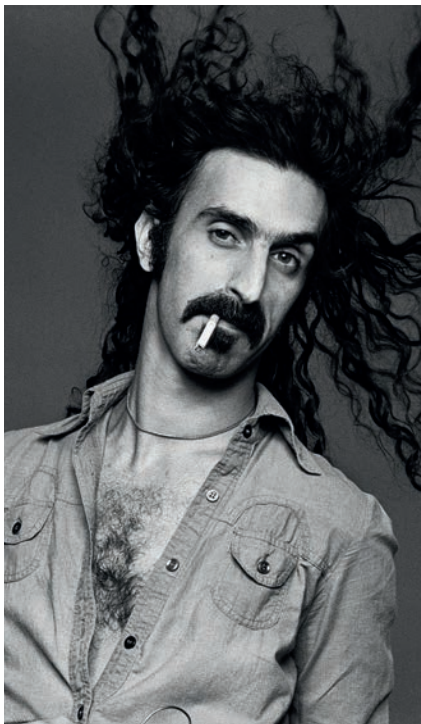


Już mi niosą suknię z welonem

Wokalista Aerosmith Steven Tyler został pastorem. Jak zdradził reporterowi TMZ, uczynił to dlatego, aby udzielić ślubu swemu synowi. Całe przedsięwzięcie kosztowało go tylko chwilę, gdyż musiał wypełnić stosowną ankietę oraz uiścić opłatę manipulacyjną w wysokości 80 dolarów. Na pytanie reportera o kontynuowanie posługi pastora odpowiedział, że z chęcią udzieliłby ślubu Justinowi Bieberowi. I zrobiłby to za jedyne 200 tysięcy dolarów. Ten to ma łeb do interesów.

Rafał Czarnecki

// Shorty Newsy, plotki, ploteczki



Spektakularny powrót

Fanów Franka Zappy z pewnością zelektryzowała wiadomość, że ich idol w 2019 roku ruszy w trasę koncertową. I nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że Frank Zappa nie żyje od 1993 roku. Na owej trasie oczywiście zastąpi go hologram, a w skład zespołu wejdą, co warto podkreślić, żywi muzycy współpracujący z Zappą za jego życia. Całość przedsięwzięcia ma oczywiście błogosławieństwo najbliższej rodziny. Nic, tylko czekać na line-upy wielkich europejskich festiwali, gdzie głównymi gwiazdami będą The Beatles, Nirvana czy Bob Marley.

Rafał Czarnecki



YouTube rzecz: nowe idzie

Mahalia, Kojey Radical, L Devine – jeśli te nazwy z niczym wam się nie kojarzą, to znaczy, że nie ogarniacie zupełnie, wszak to prawdziwe muzyczne gwiazdy. Oczywiście jeśli czytacie owego shorta w 2022 roku. Tak przynajmniej wynika z przewidywań marketingowców serwisu YouTube, który pozazdrościł BBC i Spotify, ogłaszając listę najbardziej obiecujących artystów, którzy w niedługim czasie mają pobić rynki muzyczne całego świata. Zatem polecamy po cichutku nabywać płyty owych „rokujących”, kto wie, ile będą warte w przyszłości?

Michał Mościcki



Fantastyczna publiczność i jak ją znaleźć

Threatin to klasyka amerykańskiego rocka, zespół z ogromną bazą fanów, którzy domagali się od lat trasy po Wyspach Brytyjskich. Tysiące followersów na portalach społecznościowych i agencja bookingowa, która produkowała kilkadziesiąt tras różnych zespołów. Zabookowane i opłacone kultowe kluby w Londynie, Bristolu, Newcastle, suporty zaproszone, bilety idą jak świeże bułeczki. Brzmi jak genialny plan na sukces w Europie. Z małym zastrzeżeniem: kojarzycie Threatin? No właśnie. My też nie. Zespół istnieje, a jakże – ale cała reszta okazała się ściemą. Jakże ogromne było zdziwienie managerów wspomnianych lokali, gdy na koncertach nie pojawiał się nikt. Zero, null. No dobrze, w Londynie sprzedali jeden bilet (znajomy suportu), a w Belfaście dwa – nikt nie wie, jakim cudem. Okazało się, że fanbase kupiony gdzieś w Azji niekoniecznie zapełni salę w Bristolu. Dziwne. Teraz na wyspach huczy, a kliki na YouTube w końcu się zgadzają. Czyż nie o to chodziło?

Michał Mościcki

// Umarł rock, niech żyje jazz?

Taki tytuł to czysta prowokacja. Ale to również zaproszenie do dyskusji, zwrócenie uwagi na pewien proces, który – być może – dokonuje się na naszych oczach (uszach?). Bo czy w nieustannie ogłaszanej śmierci muzyki rockowej nie nastąpił właśnie rok, który diagnozę tę autentycznie potwierdza, a tym samym – przewrotnie – pokazuje możliwe źródło przetrwania i rewitalizacji?

Kiedy myślę o najlepszych płytach wydanych w mijającym roku, płytach, do których nieustannie sięgam, których każdy kolejny odsłuch wywołuje we mnie jakiś nowy dreszcz emocji i zapładniające odkrycie, to – chyba po raz pierwszy w mojej prywatnej historii świadomego słuchania muzyki, głównie rockowej – przychodzi mi na myśl przede wszystkim płyty w ten czy inny sposób flirtujące z jazzem. To prawda, że od dobrych kilku lat płyty takie pojawiały się w moich muzycznych podsumowaniach. Wspomnieć tu mogę chociażby o dwu wypełnionych brzmieniami saksofonu albumach z 2016 r., a mianowicie *Blackstar* Davida Bowiego i *The Hope Six Demolition Project* PJ Harvey czy o trzech zeszłorocznych debiutach: prowadzonego przez Colina Stetsona zespołu *Ex Eye* (*Ex Eye*),

kontrabasisty Milesa Mosleya (*Uprising*) i polskiej nadziei – EABS (*Repetitions (Letters to Krzysztof Komeda)*). Jednak to dopiero w tym roku nastąpiła – mam wrażenie – akumulacja wysokojakościowych płyt z pogranicza ambitnego, poszukującego rocka i mainstreamowego jazzu, świadomie otwierającego się na odbiorcę szeroko rozumianej muzyki popularnej. Wymieńmy kilka takich wydawnictw: Marcus Miller ze swoim *Laid Back* (jedna z lepszych płyt w całym katalogu tego genialnego basisty); jak zawsze inspirująca płyta ciężko grających Skandynawów z *Fire!* (*The Hands*); druga tegoroczna płyta indierockowego *Unknown Mortal Orchestra* – tym razem całkowicie jazzowa (*IC-01 Hanoi*); mozaikowe *Universal Beings* wirtuoza perkusji i perkusjonaliów Makayi McCravena. Jednak wszystkie one stanowią tylko przedsmak dwóch głównych dań muzycznych roku 2018.

Zacznijmy ucztę od *Heaven and Earth* Kamasiego Washingtona. W kontekście trzy płytowej, epickiej – nomem omen – *The Epic* z 2015 r. nowa płyta artysty robi wrażenie dużo staranniej przemyślanej i spójniejszej (tak, wiem, że dwupłytkowe wydawnictwo zawiera ukrytą płytę bonusową

z odrzutami z sesji i przeróbkami). Nie tracąc nic ze swojego bizantyjskiego rozmachu, 37-letniemu saksofoniście udało się zaproponować płytę esencjonalną w swoim szalonym eklektyzmie. Bo czego tu nie ma? Jest charakterystyczny dla jego muzyki luz i flow, zazwyczaj budowany przez pełne wycucia partie kontrabasów wspomnianego wyżej Milesa Moseya; są solowe partie instrumentalne żywcem wyjęte ze złotej ery fusion, a więc przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych poprzedniego wieku; jest wszechobecna i wręcz namacalna atmosfera spiritual jazzu; są wyraźne ukłony w kierunku chorałowego jazzu filmowego w stylu Krzysztofa Komedy. Płyta zachwyca i przytłacza, wciąga i nie odpuszcza ani na sekundę, ku radości – jeśli nie ekstazie – słuchaczy nie daje ani momentu zbędnego wytchnienia.

Inny rodzaj jazdy bez trzymanki zapewnia trzecia płyta brytyjskiego kwartetu Sons of Kemet, kierowanego przez saksofonistę Shabakę Hutchingsa, zatytułowana *Your Queen Is a Reptile*. Tam gdzie *Heaven and Earth* poraża kunsztownym przepychem, *Your Queen Is a Reptile* atakuje minimalistyczną, agresywną dosadnością. Wrażenie jest takie, że zespół, składający się – oprócz lidera – z dwu perkusistów i muzyka obsługującego tubę basową, proponuje swoją własną wersję jazzowego punk rocka. Sons Of Kemet nie biorą jeńców: grają intensywnie, brudno, na złamanie karku. A wywrotowo-punkowego ducha całości podkreśla



for Chantal Anderson

warstwa ideologiczna płyty: antybrytyjska i antyimperialna, emancypacyjna i feministyczna, czarna i bulgocząca jak gorąca smoła. Nie znaczy to bynajmniej, że mamy tu do czynienia z jakąś uproszczoną odmianą jazzu. Wręcz przeciwnie: w nieprzeładowanych dźwiękowo, pełnych powietrza przestrzeniach muzycy co rusz pokazują swoje nieokiełznane możliwości, a 34-letni Hutchings już stanowi zarówno największą konkurencję Washingtona, jak i zupełną antytezę Amerykanina (na marginesie: polecam gościnne udziały Brytyjczyka na tegorocznej EP-ce Mosesa Sumneya, *Black in Deep Red*, 2014 oraz na wspomnianej już wyżej płycie Makayi McCravena).

Czy więc rock faktycznie umarł, a na jego grobie tańczą dzicy jazzmani? Mam nadzieję, że jednak tak nie jest i nie będzie; że jest to jedno wielkie – by użyć frazy z tytułu powieści Michela Houellebecq – poszerzanie pola walki, którego największymi wygranymi będzie w równej mierze muzyka rockowa i jazzowa, a wraz z nimi my: ludzie, którzy bez dobrej muzyki żyć nie potrafią.

Sławomir Kuźnicki

//Christmas will break your heart,

czyli jak przywrócić równowagę wszechświata

Stało się. Świąteczny zamęt osiągnął właśnie zenit i mikołajowo-reniferowa lawa wylewa się zewsząd. Nie ma zatem możliwości, aby zapomnieć, że „jest taki dzień tylko jeden raz do roku”, a „Santa Claus is coming to town”. W zasadzie od kilku lat dowiadujemy się o tym, zanim zgaśnie ostatni znicz, który stawialiśmy z początkiem listopada. W samym świętowaniu rzecz jasna nie ma nic złego, ale często przesyt, który osiągamy na długo przed pierwszą gwiazdką, psuje nam „efekt końcowy”, kiedy spotykamy się z ludźmi, których (zazwyczaj) lubimy, aby nieco zwolnić i celebrować zwyczajne bycie razem. Szczęśliwie dla nas są recepty na „przesłodzenie” organizmu i zdarzają się łyżki dziegciu, które dla miodu okazują się zbawienne. Gdy wszystko dokoła zapewnia nas, że „całkiem miło jest w ten zimowy czas”, napawając zarazem niepewnością, czy przypadkiem „za rogiem nie stoją anioł z Bogiem”, możemy wyjść z kontrofensywą i przywrócić należną naturze równowagę. Szeroki zbiór utworów o tematyce okołoświątecznej proponuje nam również te, w których bohaterowie przypominają bardziej Janusza Gajosa z *Żółtego szalika* niż Karolaka w *Listach do M.*

Zanurzając się w smutnych historiach, z pewnością inaczej spojrzymy na marudzenie teścia, nietrafione prezenty czy fałszowanie ciotki przy *Lulajże Jezuniu*, bo nagle się okaże, że to nic nieznaczące i w gruncie rzeczy zabawne akcenty. Wachlarz możliwości świątecznego „dołowania” jest całkiem spory. Możemy wraz z The Pogues i ich *Fairytale of*

New York rozpocząć wigilijną opowieść na izbie wytrzeźwień i nucić z pijanym staruszkiem starą irlandzką pieśń, marząc o ukochanej, której świat chciałoby się rzucić do stóp, dopóki nie wróci szara rzeczywistość i nasza „Queen of New York City” wykrzyczy nam w twarz, że zmarnowaliśmy jej życie. Możemy odwrócić role i stać się bohaterem River Joni Mitchell, śniąc o zamrożonej rzece, dzięki której będziemy mogli zatracić się w jeździe na łyżwach, aby tylko nie myśleć o porzuconej miłości, która dbała o nas i kochała, ale nasz egoizm wziął górę i teraz spędzamy świąteczny czas pogrążeni w smutku. Lecz czymże on jest w porównaniu ze strapieniem chłopca z piosenki Nat King Cole’a, o którym zapomniał święty Mikołaj? Biedny dzieciak nie chciał wiele, jedynie bębenek i żołnierzyków, a i tak święta okazały się kolejnym, zwykłym dniem, w którym nic się nie zmienia. Podobne rozterki targają Carlene Davies, która w wesołej formie reggae z dzwoneczkami pyta Mikołaja, czy był kiedykolwiek w getcie? I czy fakt, że dzieciaki nie dostają tam prezentów, spowodowany jest brakiem kominów w prowizorycznie skleconych lepiankach? Gdy już wydaje nam się, że smutniej nie można, to z odsieczą przychodzą LCD Soundsystem, którzy już samym tytułem *Christmas will break your heart* zapowiadają, że jeńców brać nie zamierzają. Tak też się dzieje. Uderzenia dzwoneczków są niczym soczyste policzki wymierzane uśmiechniętym pomocnikom wspomnianego już, świętego rzekomo, Mikołaja. Marazm, samotność i wspomnienia młodości, która odeszła na dobre, na tle świątecznego entourage’u wypadają niezwykle



okazale. Gdy już postanowimy się wygrzebać z odmętów „rozplakanych” świąt, unikajmy wszelakich wersji *Cichej nocy*, bo możemy nieopatrznie trafić na tę od Simona i Garfunkela, w której słowa melancholijnej kolędy powoli nikną zagłuszone przez dźwięki wieczornych wiadomości, w których lektor czyta o łamaniu praw człowieka, śmierci z przedawkowania, morderstwach i wojnie w Wietnamie, czyli sacrum spotyka profanum w najciemniejszej postaci. Czasem bywa tak, że szlachetne założenia przynoszą (dosłownie) opłakane skutki, jak w przypadku Zbigniewa Preisnera, którego *Kolęda dla nieobecnych* śpiewana przez Beatą Rybotycką taki właśnie efekt uzyskuje, bo przecież o nadziei miało być, co zstępuje z nieba, a tu umarli przyjaciele, puste miejsce i „zabrakło czyjś głosu”. Nie bez powodu owa pieśń pojawia się w *Ślepnąc od świateł* Krzysztofa Skoniecznego, którego trudno posądzić o jakiegokolwiek „promyki w tunelu”.

Nie tracimy jednak resztek nadziei, wszak to w tradycji święta pełne dobrej nowiny, poprzedzone „radosnym oczekiwaniem”, a większość pieśni podnosi przecież na duchu i spełnia wszelkie niezbędne kryteria, aby stać się „świecką kolędą”. Jeśli już dojdziemy do dna, to proszę ku górze, ku górze, odpalamy *Last Christmas* i świat wraca do równowagi! Oh, wait...

Michał Mościcki

KONCERT
ABRADAB

30/03/2019

SALA KAMERALNA NCPP



DEAD CAN DANCE

The Ubiquitous Mr. Lovegrove [Pan Wszystko i Pan Miłość]

Choć o wzniosłej i unikalnej muzyce Dead Can Dance decyduje przede wszystkim głos Lisy Gerrard – atmosfera przez nią budowana i przestrzeń, którą a to wypełnia sobą, a to pozostawia znacząco pustą – to nie należy zapominać o drugiej części duetu, czyli o kompozytorze, multiinstrumentaliście i wokaliście Brendonie Perry. W końcu to tylko on wykonuje w zespole utwory śpiewane w języku dającym się przetłumaczyć, w przeciwieństwie do wyśpiewanych mową wyobraźni piosenki Gerrard.

Pochodząca z piątego albumu studyjnego zespołu, wydanego we wrześniu 1993 r. *Into the Labyrinth* (przez wielu uważanego – niesłusznie zresztą – za ostatnią wielką płytę DCD), kompozycja *The Ubiquitous Mr. Lovegrove* jest być może najlepszym utworem z katalogu duetu zaśpiewanym przez Perry'ego. Jak zwykle podbita amalgamatem etnicznych dźwięków pochodzących z przeróżnych zakątków

The Ubiquitous Mr. Lovegrove

I thought that you knew it all
Well you've seen it ten times before.
I thought that you had it down
With both your feet on the ground.
I love slow, slow but deep.
Feigned affections wash over me.
Dream on my dear
And renounce temporal obligations.
Dream on my dear
It's a sleep from which you may not awaken.

You build me up then you knock me down.
You play the fool while I play the clown.
We keep time to the beat of an old slave drum.
You raise my hopes then you raise the odds
You tell me that I dream too much
Now I'm serving time in disillusionment.

I don't believe you anymore. I don't believe you.

I thought that I knew it all
I'd seen all the signs before.
I thought that you were the one
In darkness my heart was won.

You build me up then you knock me down.
You play the fool while I play the clown.
We keep time to the beat of an old slave drum.
You raise my hopes then you raise the odds
You tell me that I dream too much
Now I'm serving time in a domestic graveyard.

I don't believe you anymore. I don't believe you.

Never let it be said I was untrue
I never found a home inside of you.
Never let it be said I was untrue
I gave you all my time.

Pan Wszystko i Pan Miłość

mówi Pan Wszystko: a ponoć wszystko wiesz
widziałeś po dziesięć tysięcy razy i więcej
wszystko pod kontrolą
oparte na dwu stopach wmurowanych w piach

mówi Pan Miłość: kocham niespiesznie ale głęboko
pozorowane afekty to nie moja bajka
śpij więc dalej: zapomnij o tym co trzeba
bez końca śnij

mozolne tworzenie to w istocie rozbiórka
głupiec to kłown: kłown to głupiec
obaj to my
wybijamy rytm na bębnie czasu zależnego
nadzieje nie pasują do pary
może śnić za dużo a może to sen śni mnie

mówi Pan Wszystko: już ci nie wierzę
mówi Pan Miłość: nie wierzę ci już

mówi Pan Wszystko: a ponoć wszystko wiesz
znaki widziałeś już wcześniej
mówi Pan Miłość: byłeś tym
który zdobył ciemność mojego serca

mozolne tworzenie to w istocie rozbiórka
głupiec to kłown: kłown to głupiec
obaj to my
wybijamy rytm na bębnie czasu zależnego
nadzieje nie pasują do pary
może śnić za dużo a może to sen śni mnie

słowa wypowiedziane niewypowiedziane
dom we mnie i poza mną
czas dany i niezależny
nigdy na pohybel

świata, piosenka flirtuje również czy to z elektroniką, czy też bardzo popularnym w latach dziewięćdziesiątych podgatunkiem tej muzyki zwanym trip hopem. Na tle transowego i hipnotyzującego podkładu instrumentalnego Perry snuje opowieść – jak sam wielokrotnie przyznawał – o sobie i swoim alter ego. W wymiarze bardziej uniwersalnym jest to opowieść o człowieku, który chce wiedzieć i mieć wszystko, który w pewnym sensie gubi się w swoim dążeniu do totalnego i całościowego objęcia życia. Jest to też portret każdego z nas: naszych niejednokrotnie przeciwstawnych obsesji, naszych drobnych (choć nie tylko i nie zawsze) schizofrenii, naszego zagubienia w „pójściu na całość”. Bo czyż w ogólnym rozrachunku nie ma racji największy zespół rockowy świata, kiedy śpiewa, że jedyne, czego nam potrzeba, jest miłość?

Dionizyje

Wchodzę w ciemność mojego serca. Zapominam o tym, co trzeba. Na bębnie czas wybijają rytm. Domy przeszłe i przyszłe. Piaski przechodzone i przewiane. Sny potargane jak kartki z koślawymi wersami. Rytm kroków, oddalanie i przybliżanie. Słońce spływające po szybie i wznoszące się po kominie. Woda ściekająca w dół i lecąca z góry. Szemrane mroki, zgniecione knoty. Świece w oczach i ogień w spojrzeniu. Ziemia wrzuszona i niewzruszona. Zaklęcia bez magików. Magicy bez pieśni. Modlitwy bez słów. Majaki przypadkowe, przywidzenia prawdziwe. Głosy i twarze. Czarne dziury i jasne widoki. Nocne mantry i dzienne bóle głowy. Szorstkie pnie i delikatne liście. Przypadkowi ludzie, nieprzypadkowe kroki. Droga donikąd i droga stąd. Tam jak tu i tu jak tam. Raczej bywasz, niż jesteś. Chmury nakryją cię puchem z niczego. I tak znajdziesz miejsce. W nim postawisz stopę, a potem drugą. Dalej i bliżej. Choć ciemność mojego serca, chodź. Schowaj wiatr w dalekich ziarnach. Wąż zrzuci wylinkę, strąci minutę w czeluść. Przepadniesz w słupku popiołu. W ciemności mojego serca. Zapomnisz o tym, co znałeś. Poznasz to, co czas wybijają na bębnie. Rytm będzie imieniem twoim, a drogą twoją śpiew. *Outò, ba mwen son ou,e. Tanbouyè, o ba mwen son ou. Solèy lève.*

Sławomir Kuźnicki i Bartosz Suwiński



Koncertы w NCPP. Fot. Patrycja Wanot





//Podsumowanie muzyczne roku



Khruangbin *Con Todo El Mundo*

Szalone trio z Teksasu udowadnia, że muzyka instrumentalna ma się dobrze i potrafi czarować w sposób nieprawdopodobny. Niezbędna jest jednak wyobraźnia twórców, którzy potrafią ze swych muzycznych odkryć stworzyć kolaż pięknych dźwięków. Na swojej poprzedniej płycie pływaliliśmy w odmętach funku i surfrocka inspirowanego sceną funkową Tajlandii lat siedemdziesiątych. Tym razem kierujemy się na Bliski Wschód i do Indii, aby tam odnaleźć niezmierzone pokłady pierwiastków soulowo-funkowych, które swe odzwierciedlenie znalazły na *Con Todo El Mundo*. Potrzeba jedynie chwili skupienia, aby w tych brzmieniach się zatracić i poddać hipnozie. Warto ulec.



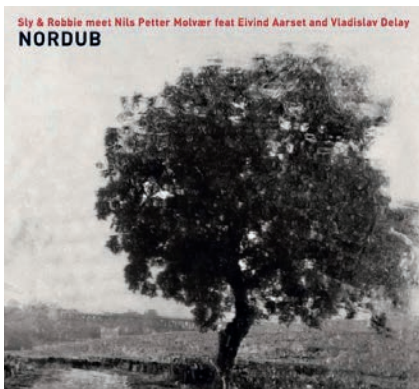
Joe Strummer *001*

Po kilkunastu latach od śmierci prawdziwej legendy sceny niezależnej otworzył się skarbiec pełen klejnotów najwyższej próby. Otrzymaliśmy ogromną dawkę niepublikowanych utworów Strummera dla The Clash, ale również dla Mescaleros. Znalazło się też miejsce dla piosenek do filmów i nigdy niepublikowanych wersji utworów już funkcjonujących. Wszystko pięknie surowe i pełne energii, która towarzyszyła Joe przez całe jego życie. Tytuł *001* sugeruje, że przepastne archiwa skrywają dużo, dużo więcej. Rarytasy.



The Internet *Hive Mind*

Grubson rapował niegdyś o „ciepłym brzmieniu Kalifornii”, mając z pewnością na myśli beats będące klasykami sceny „east”, to z pewnością ekipa The Internet spełnia wszelkie kryteria, aby w owym zbiorze się znaleźć. Sporo tu jazzującego klimatu, przeważa jednak solidne R&B w najlepszym wydaniu. Choć nie brakuje tu elektroniki, loopów i sampli, to całość brzmi niezwykle „analogowo”. Zaśpiewane doskonale, buja i kipi energią, która pozwala zimowe poranki zaczynać w nieco lepszym nastroju. Spróbujcie.



Sly & Robbie Meet Nils Petter Molvær Feat. Eivind Aarset And Vladislav Delay

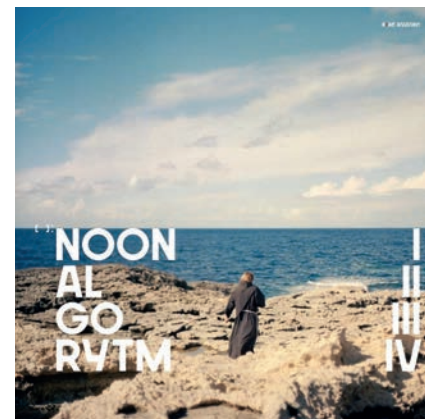
Nordub

Sly & Robbie to jedna z najstynniejszych sekcji rytmicznych świata. Jamajczycy współpracowali w przeszłości z największymi, jak Bob Dylan, Mick Jagger czy Madonna, ale nigdy nie stronili od kolaboracji nietuzinkowych. Tak jest i tym razem. Wraz z jednym z najpopularniejszych muzyków jazzowych w Norwegii nagrali album wyjątkowy. To połączenie dwóch żywiołów: ciepłego jamajskiego bassu i perkusji osadzonej w karaibskiej tradycji z chłodnym skandynawskim jazzem. Owa koegzystencja zaskakuje spójnością. To doskonała propozycja na jesienną aurę, która w Polsce zaczyna się w listopadzie, a w marcu kończy. Jeśli akurat wylądowaliście na szeszlągu z grzanym winem w ręce, to nie wzbreniajcie się przed Nordub – dopełni sielanki.



Petite Noir ***La Maison Noir***

Za tym pseudonimem stoi Yannick Illunga, południowoafrykański muzyk i producent, performer i człowiek orkiestra. Choć mamy do czynienia z epką, to energią i witalnością mogłaby obdarować kilka albumów. To koncept manifest, pełen dynamicznych kompozycji, które towarzyszą niezwykle istotnym kwestiom, które z pełnym zaangażowaniem porusza Illunga. Wierzy on w utopijny świat bez granic, podziałów, pełen twórczej energii. *La Maison Noir* jest emanacją tej postawy, to zarazem trudna do skatalogowania i zaklasyfikowania pozycja. Jeśli z sympatią wspominaliście solowe próby Kele z Bloc Party, to śmiało możecie sięgać również po tę propozycję. Nie zaśniecie.



DOBRE, BO POLSKIE

NOON ***Algoritm***

Mikołaj Bugajak dawno temu udowodnił, że wszelkie kompromisy są mu obce i nie zamierza pakować się w jakiegokolwiek szufladki. Jego produkcje pozbawione są koniunkturalności. Mnóstwo tu dźwięków rozłożonych na kilku płaszczyznach, które za pomocą bliżej nieznannej alchemii układają się w tytułowy algorytm. Pełne niepokoju kompozycje szumią, meandrują, przyspieszają, by w końcu zniknąć. Gdy poświęcimy nieco więcej uwagi, to „niesłyszalne” dotąd elementy pojawiają się nieoczekiwanie. Obecność Adama Struga w jedynym utworze wokalnym jest dowodem na szerokie spectrum poszukiwań NOON-a, dla którego zdają się nie istnieć gatunki, prądy i trendy. Niesamowite doznania.



DEBIUT ROKU

Shame *Songs of Praise*

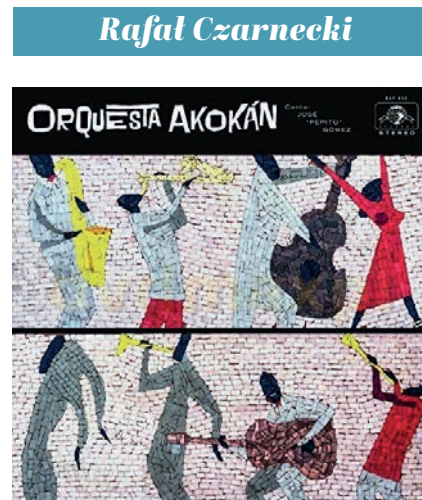
Jeśli debiutować, to właśnie w taki sposób. Wywalasz drzwi z futrynam i siadasz wygodnie w fotelu. Jegomościę z południowego Londynu udowodnili, że jest na wymagającej, brytyjskiej scenie miejsce na szeroko rozumiany postpunk. Pieśni wyśpiewane i wykrzyczane z należytą dawką emocji i energii, pięknie „przybrudzone” gitary i kompozycje pełne zmieniającego się tempa, które buzują i kłują dźwiękami, nie pozostawiając nikogo obojętnym. Godna pochwały bezkompromisowość, która pozwala czekać z niecierpliwością na rozwój wypadków. Wbrew nazwie: wstydu nie ma!



ŻENUA ROKU

Punk *is dead*

Propozycja w tej kategorii zawsze „wpada” sama, wystarczy trochę odwagi, aby włączyć telewizor. „Śpiewajmy razem. All together now” to badziewny program, jakich w szklanym oczku nie brakuje. Potencjalne gwiazdy szukają swojej szansy na karierę, śpiewając przed setką jurorów (wow, ale czaaad). No i OK, są wzruszenia, jest pan śmieszny prowadzący z kabaretu, jurorzy wstają i wesoło podrygują, dośpiewują uczestnikom. Jakże zaskakującym doznaniem było jednakowoż ujrzeć między panem z Papa D, Dariuszem Kordkiem i Ewą Farną samego... Olafa Deriglasoffa! I tu po raz kolejny okazuje się, że droga z Jarocina przez Aptekę wieść może wprost do Bałkanicy! Cytując klasyka: wybacz, kochanie, wszystkiemu winny diabeł!



Orquesta Akokán *Orquesta Akokán*

W jednym z poprzednich numerów MIC-a pisałem o wytwórni Daptone (wydawcy Sharon Jones czy Charlesa Bradleya) i ich umiejętności wykorzystywania mody na retro-manię. Wydają się konsekwentni w wyszukiwaniu zespołów, które idealnie uzupełniałyby ich portfolio. Gdyż właśnie takim zespołem jest Orquesta Akokán, czyli kubański big-band dowodzony przez wokalistę José „Pepito” Gómeza. Big-band, o czym przekonacie się już od pierwszej nutki, brzmi bardzo stylowo. Po prostu 100% salsy w salsie, i to jej żywiołowej odsłony. Napiszę szczerze: nie mam bladego pojęcia, o czym śpiewa wokalista, ale jest w tym wszystkim żywiołowość, pasja i muzykalność, która jest absolutnie przejmująca.



Bixiga 70 *Quebra Cabeca*

Bixiga 70 to dziewięciu dżentelmenów pochodzących z Sao Paulo grających utwory wyłącznie instrumentalne. 70 w nazwie kapeli jest zdecydowanie ukłonem w stronę Fela Kutiego, a tytuł płyty *Quebra Cabeca* nie znaczy nic innego jak puzzle. Tytuł, który idealnie ilustruje zawartość albumu. Funk doskonale współpracujący z afrobeatem, potężna sekcja dęta raz gra prawdziwe walce (nie mylić z tańcem), a raz swobodnie jazzuje, ukazując sztukę poszczególnych muzyków. Świetne kompozycje, zachwycające tanecznym beatem. Swoją przygodę z tym zespołem rozpocząłem od tej właśnie płyty, ale wiercie mi: poprzednie (trzy) są również dobre. Proszę państwa, co to jest za zespół, co to jest za płyta!



Odetta Hartman *Old Rockhounds Never Die*

Pani Odetta pochodzi z Nowego Jorku, a obecny album jest drugim w jej dorobku. W swojej muzyce dość mocno eksponuje banjo oraz skrzypce, ale tu i ówdzie pojawiają się również perkusjonalia podkreślone elektroniką. Piosenki pani Odetty zazwyczaj są dość krótkie, ale to nie znaczy, że mało się w nich dzieje. Bo pani Odetta potrafi doskonale pisać niezłe melodie, a za pomocą swego wokalu doskonale buduje napięcie. Nie wiem, czy to, co tworzy pani Odetta, to americana czy psychodeliczne country, ale wiem, że jeśli jacyś serialowi headhunterzy ją odkryją, to o pani Odetcie zrobi się głośno. Bo ta muzyka aż prosi się o to, by zobrazować ją wizualnie. Mała wielka płyta.



The Limiñanas *Shadow People*

Czasami są takie płyty, które nie wytyczają nowych dróg, nie odkrywają niczego nowego, a przyjemność z ich słuchania wciąż jest bardzo duża. Idealnie do tej definicji pasuje najnowsze wydawnictwo francuskiego duetu The Limiñanas, który bardzo sprawnie i z wielką gracją porusza się w kręgach psychodelicznego rocka. Czasami zahaczy trochę o zimną falę czy wprowadzi klimat mrocznych rodeo westernów. Bardzo dobrze płycie robią również zaproszeni goście, którzy idealnie wpisują się w konwencję. Dodajmy: goście nie były jacy, bo są to Emmanuelle Seigner, Peter Hook, Anton Newcombe z formacji Brian Jonestown Massacre czy Bernard Belin. No i zawsze wydawało mi się, że najbardziej śpiewnym językiem jest angielski, ale jak słyszę francuski, to powoli zaczynam w to wątpić. Kawał dobrze skrojonej płyty.



DJ Koze *Knock Knock*

DJ Koze to weteran sceny house/downtempo. Jego status można by w jakimś uproszczeniu porównać do pozycji Nosowskiej na naszym rodzimym rynku muzycznym. Czyli cokolwiek by nagrał, w czambuł by nie był skrytykowany. A DJ Koze wysmażył (jak by to powiedziała młodzież) naprawdę bardzo ładną, letnią płytę. Letnią dosłownie i w przenośni. Gdyż płyty słucha się z niekłamaną przyjemnością, ale bez jakichś wielkich uniesień. No dobra, czyli co ona robi w takim razie w tym zestawieniu? Odpowiedź jest dość prosta: trzeba niemałego kunsztu, by trzymać cały czas tak wysoki poziom producencki. Bo zarówno goście fajni (José González, Róisín Murphy) i cała reszta broni się jako całość. Polecam puścić w domowym zaciszu i czekać na lato. Bo jak wiadomo – w końcu nadejdzie.



DEBIUT ROKU **Yumi And The Weather** *Yumi And The Weather*

Okazuje się, że jeśli tylko wszystko pójdzie dobrze, Brighton będzie mogło pochwalić się nie tylko klubem piłkarskim grającym w Premier League, ale i ciekawym zespołem indie-elektro-popowym. Muzyka Yumi And The Weather to z pewnością pop, w dodatku całkiem dobrze zaaranżowany, zaśpiewany i pokombinowany. Pop, w którym dominuje elektronika, ale i gitarowe akcenty czasami wychodzą na pierwszy plan. Wydaje się, że ta płyta to całkiem niezły prognostyk dopiero co rozpoczynającej się kariery. Trochę boli mnie druga część albumu, której zarzuciłbym zbyt dużą cukierkowatość. Ale to nie zmienia faktu, że warto się im przyglądać. Bo potencjał z pewnością jest.



DOBRE, BO POLSKIE **Jerzy Milian** *Orkiestra Rozrywkowa PRiTV w Katowicach*

No nic, w tej rubryce tak naprawdę oszukuję. Bo oczywiście nie jest to nowe wydawnictwo, które miało premierę w 2018 roku, ale wznowienie (i to winylowe) klasycznego już albumu. Nie odważę się nawet recenzować mistrza. No bo cóż mógłbym napisać. Że to kawał polskiej muzyki (a w szczególności polskiego jazzu) okraszony pięknymi melodiami? Że znajdziemy tam nawiązania do amerykańskiego R&B i funku? Że to muzyka rozrywkowa zaaranżowana w niebanalny sposób? Truizmy. Nawet gdybyś, domorośli producencie hip-hopowy, chciał jako pierwszy wyciąć z tego jakiś smaczny sampel, to za późno: O.S.T.R. zrobił to przed tobą. Słuchajcie, gdyż Polacy nie gęsi i swą muzykę mają.



ŻENUA ROKU

Polski New School Autotune

Na początku chcę zaznaczyć, że jestem przedstawicielem pierwszego wolnego pokolenia skażonego PRL-em. Piszę o tym, ażeby kontekst mojej wypowiedzi był czytelny. Ale na Boga, naprawdę z dużym trudem przychodzi mi sprawdzanie coraz to nowszych rzeczy od naszej rapowej młodzieży. Już palicho, że niemożność zaśpiewania czysto refrenu maskują wszechobecnym auto-tunem, palicho to ciągle nawijanie o kasie jako wyznaczniku statusu społecznego (tak, wiem, w USA tak robią). I palicho ten cały instagramowo-szafiarski anturaż. Ale dlaczego to wszystko musi brzmieć, jakby zapisane było na tych samych presetach, a teksy pisała cały czas ta sama osoba? Zlitujcie się, to przecież RAP.

Marek Szubryt



Sons of Kemet Your Queen is a Reptile

Najbardziej afrykański z brytyjskich zespołów – tak bardzo często jest przedstawiany kwartet i trzeba przyznać, że jest w tym zdaniu dużo prawdy. Wizja jazzu, jaką przedstawia Sons of Kemet, daleka jest od klasycznie przyjętych wersji, gdyż panowie mieszają gatunki, odważnie spoglądając przy okazji w stronę a to Afryki, a to Karaibów, tworząc z jednej strony wpadające w ucho „piosenki”, a z drugiej gryzące te same uszy protest songi. Pisząc o *Your Queen is a Reptile*, nie można nie wspomnieć szczególnie o tym drugim aspekcie, gdyż płyta pełna jest chropowatych, zagranych wręcz ze wściekłością utworów. Całość cechuje energia, a płyta aż pulsuje. Ogromne znaczenie ma tu instrumentarium: dwie perkusje, saksofon i tuba, które razem powodują, że wobec ich muzyki trudno przejść obojętnie. Sons of Kemet wrzucani są wraz z Kamasim Washingtonem do tego samego

worka „odnowiciele jazzu”, ale jeśli miałbym wybrać spośród wydanych w 2018 roku albumów, to po ciężkich bojach przychyliam się w stronę *Your Queen is a Reptile*.



Courtney Barnett Tell Me How You Really Feel

Ostatnia płyta pochodząca z Australii Courtney Barnett jest dla mnie jednym z miłszych zaskoczeń tego roku. Powodowane jest to tylko i wyłącznie subiektywnym podejściem do tego rodzaju twórczości piszącego. Ujmijmy to w ten sposób: jeśli mam do czynienia z gitarowo-garażowym songwritingiem, to wybaczam mniej i niecierpliwiej się szybciej niż w przypadku innych gatunków. Słowem, jeśli ktoś męczy bułę, ubierając swoją twórczość w brud przesterowanych gitar tylko po to, by dodać temu „artyzmu”, ciągnie się to jak flaki z olejem, a nad całością trzeba się zachwycać, bo tak wypada, to skreślam od razu. Szczęśliwie ostatni album Courtney Barnett jest tego zaprzeczeniem, gdyż *Tell Me How You Really Feel* zawiera 10

prosty, dobrze skrojony, pomysłu zaaranżowanych i klasycznie, akordowo zagranych oraz ujmująco zaśpiewanych piosenek. Można by nawet zaryzykować stwierdzenie, że płyta posiada kilka naturalnych hitów. Pożyjemy, zobaczymy, ale na pewno jest tam 10 dobrych piosenek i w zasadzie to już wystarczy.



Julian Lage *Modern Lore*

Cudowne dziecko gitary i jazzu w jednym. W tej kategorii są oczywiście znakomite, utytułowane, ale – co za tym idzie – także wiekowe nazwiska, a Julian Lage niedawno przekroczył dopiero trzydzistkę, a od lat wszyscy nic, tylko cmokają z zachwytu. Cmokałem i ja, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem, jak w trio gra na żywo *Persian Rug* w sposób wirtuozerski, przemyślany i – co najważniejsze – lekki. Ze sposobu gry bił spokój i opanowanie charakterystyczne dla najlepszych, bez siłowania i napinania. W grze Lage'a nie ma nic z satiryzmu: nie znajdziecie tam niepotrzebnych fajerwerków,

popisów i wyścigów, choć muzyką takimi umiejętnościami dysponuje. Otrzymacie za to wyjątkową dojrzałość i śpiewność, która ujmuje od samego początku. Internet jest pełny jego nagrań, kiedy jako mały chłopiec grywał z największymi, i choć często jest nazywany nowym „Pathem Methenym”, to mnie on kojarzy się także z Billem Frisellem. Pewnie to m.in. przez „startego na wiór” klasycznego telecastera, którego często używa, ale to, jaki instrument wybrał i jak na nim gra, zważywszy na muzykę, jaką uprawia, też wiele o nim mówi. Najważniejsze, że tylko dobrze.



Oneohtrix Point Never *Age Of*

Age Of jest jedną z tych płyt, z którą boksowałem się najdłużej. Bo z jednej strony zachwyca: jest to płyta przebogata, wielowątkowa, zaskakująca, z każdym przesłuchaniem możemy znaleźć kolejne smaczki i oczywiście – choć brzmi to trochę banalnie – oryginalna. Jest to także

album posiadający określony klimat, który koniecznie trzeba traktować jako całość z wynikającymi z siebie rozdziałami, toteż albo przestłuchasz ją w całości, albo odrzucisz po pierwszym czy drugim utworze. Z drugiej strony przy tak bogatej ornamentyce i wielości odniesień, nawiązań, zniekształceń czy – jak powiedzieliby bardziej złośliwi – udziwnień zapala się lampka ostrzegawcza: oho, stara się coś chłopaczyna ukryć i zamarkować. Spieszę jednak donieść, że oczyszczam go z jakichkolwiek zarzutów, jego, tzn. Daniela Lopatina. Mnie „te wszystkie zniekształcenia, szumy, klawesyn, autotune i inne” złożone do kupy na *Age Of*, bo takie zarzuty słyszałem, w ogóle nie rażą, ale są moim zdaniem największym atutem, o czym polecam przekonać się osobiście. Tylko żeby nie było, że nie ostrzegałem.

David Byrne
**AMERICAN
UTOPIA**



David Byrne *American Utopia*

W polecijkach rocznych mam własną podkategorię, którą nazwać by można „stary, ale jary”, co w wolnym

tłumaczeniu może brzmieć: bardzo lubię tego artystę za albumy z przeszłości i bardzo bym chciał, żeby to, co robi teraz, nie było tylko odcinaniem kuponów. Szczęśliwie do tej kategorii mogą wrzucić wydany w 2018 roku pierwszy od 14 lat album Davida Byrne'a. *American Utopia* to zbiór 10 utworów, które nie są jednorodne, jak np. płyty Talking Heads, punktem wspólnym są oczywiście charakterystyczny wokół oraz teksty Byrne'a, ale muzycznie już mamy delikatny melanz. Powód jest prozaiczny: współodpowiedzialny za muzykę i brzmienie albumu był Brian Eno, do współpracy zaproszono wielu gości, a dwa utwory napisał wspomniany w tej rubryce Daniel Lopatin (oczywiście pojawia się klawesyn i elektronika, a jakże). Oprócz poszukiwań brzmieniowych, które zawsze się chwala, na *American Utopia* znajdziemy także wszystko to, z czego Byrne jest znany od dawna: oprócz wspomnianego wokalu i tekstów są to puls oraz charakterystyczna tylko jemu taneczność.

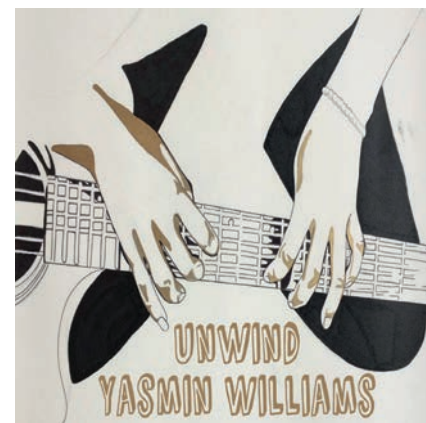


DOBRE, BO POLSKIE

Król *Przewijanie na podglądzie*

Błażeja Króla obserwuję od dawna, kiedyś tam w ucho wpadł mi Kawalek Kulki, na łamach MIC-a zachwycałem się swego czasu UL/KR, w międzyczasie pojawił się w Kobiecie z wydm, od jakiegoś czasu artysta występuje pod pseudonimem Król. Piszę o tym dlatego, że choć muzyk na polskiej scenie działa już ładnych parę lat i udzielał się w niejednym projekcie, nie można mu odmówić konsekwencji i oryginalności. Mam tu na myśli styl, który jest niezmienny w dobrym tego słowa znaczeniu: od początku słyszymy, kto odpowiada za charakterystyczne teksty i piosenki, że się tak wyrażę, naznaczone jego śpiewem. Wielu artystów znudzonych szorowaniem przez lata undergroundu i słuchaniem, że są za bardzo alternatywni i nieprzystępni, szukałoby jakiejś innej ścieżki. Mówi się, że do trzech razy sztuka, ale *Przewijanie na podglądzie* jest czwartym albumem Króla, lecz chyba dopiero pierwszym, który

przebił się do szerszego odbiorcy. Śmiem twierdzić, że obserwowane od jakiegoś czasu wzmożone zainteresowanie muzykiem to dopiero początek zbierania plonów, czego mu zresztą gorąco życzę. A co na to sam zainteresowany? To samo co od lat: spokojnie i konsekwentnie robi, co chce i jak chce, uśmiechając się przy tym, że bardzo dobrze mu w popie. Jak go nie lubić?



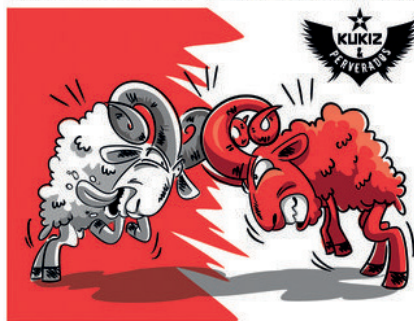
DEBIUT ROKU

Yasmin Williams *Unwind*

Unwind jest jednym z tych albumów, który można bez cienia ironii nazwać przyjemnym. Yasmin Williams jest kolejnym złotym dzieckiem gitary, ale tej nieco innej, bo granej stylem fingerstyle, będącym kolejną wariacją na temat tappingu, a polegającym w tym przypadku na tym, że instrument trzymamy poziomo na kolanach w pozycji siedzącej i gramy trochę jak na klawiaturze fortepianu. Do tego

dochodzą czasem różne cudaki do uderzania strun, flażolety i elementy perkusyjne wydobywane z pudła rezonansowego. Nie będę się więcej na ten temat rozpisywał, w internecie znajdziecie mnóstwo filmików artystki i innych wirtuozów tego rodzaju gry, ale zatrzymajmy się chwilę przy samej Yasmin. Pochodząca z USA artystka swoją przygodę zaczęła od... Guitar Hero. Dopiero po tym, jak już przeszła całą grę, wyblagała u rodziców prawdziwą gitarę elektryczną. Okazało się, że dziewczyna świetnie sobie radzi z graniem „na słuch” i wykazuje się ogromną muzykalnością, toteż potem były już tylko kolejne instrumenty i ich wariacje. I tak, w dużym skrócie, dochodzimy do *Unwind*, debiutu artystki, zawierającego 10 instrumentalnych utworów, które przez to, w jaki sposób są grane, potrafią oszołomić kaskadą dźwięków i wartkim rytmem. Oby tak dalej.

WYSPA ZIELONA



ZENUA

Paweł Kukiz & Perverados

Wyspa Zielona

Niegdyś współtwórca Aya RL, lider Piersi, twórca kilku wżerających się w głowę kasowych hitów, piosenki o charakterze historyczno-politycznym, a ostatnio także po prostu polityk, wydał znienacka płytę i znów zaskoczył. Tym razem jednak Paweł Kukiz postanowił zostać najbardziej wąsatym z wąsatych wujów polskiej piosenki ever, mając chyba za cel zdezonizowanie przy okazji za jednym zamachem Zenka Martyniuka i Sławomira. Singiel *Zielona Wyspa* to najgorsza próba wskrzeszenia piosenki, która haniebnie mruga w stronę disco- i rocko-polo. Co mogło mieć sens i może nawet jakiś tam urok w połowie lat 90. w przypadku *Zośki* na przykład, dziś powoduje zdumienie i wręcz zażenowanie. Wspomniany singiel jest tego najgorszym przykładem, ale kto zatrzymał się tylko na tej jednej piosence,

będzie mieć błędne pojęcie o najnowszej płycie Pawła Kukiza i Perverados. Żeby było jasne, dalej nie jest lepiej, jest po prostu przasnianie-gitarowo, a całość w warstwie tekstowej podłana jest nieznośną bieżączką, więc możemy posłuchać o Brukseli i zdradzieckim Tusku (*Nic nie boli tak jak Miłość*), o sławnej tyradzie o lichych ministerialnych zarobkach Jarosława Gowina (*Biedny jak G.*), *Słońce Peru* (zgadnijcie o kim), *Pendolino* (jakieś propozycje interpretacji?), *O, Pani Sędzio* (hmm...?) i inne. Miało chyba wyjść połączenie pastiszu, żartu i protest songów na aktualne tematy obyczajowo-polityczne, a wyszło wtórne, nudne i ciężkostrawne rechotanie na poziomie żartów z podstawówki. Oczywiście ośmioklasowej.

PS. W sumie, gdyby oddzielić wspomnianą wcześniej bieżączkę polityczną, *Kujawiak*, *Rodzina słowem silna*, *ZCHN zbliża się*, *On nie jest cham*, *Paranoid* czy wspomnianą wcześniej *Zośkę* oraz inne z lat 90., to widać pewien wspólny schemat czy, powiedzmy, trzon tematyczny. Ale co bawiło i miało swój urok na nagranej w Jarocinie *Live 93* i co w swojej kategorii po latach nawet się broni, w 2018 roku na *Zielonej Wyspie* zwyczajnie woła o pomstę do nieba.

numer #18

Redakcja:

Narodowe Centrum Polskiej Piosenki
ul. Piastowska 14a, 45-082 Opole

Opracowanie, redakcja treści:

Marek Szubryt, m.szubryt@ncpp.opole.pl

Zespół redakcyjny:

Marek Szubryt, Rafał Czarnecki, Michał Mościcki

Okładka:

Karolina Michalska, karnich220@gmail.com

Opracowanie graficzne, skład:

Kamil Pieśniewski, grafika@ncpp.opole.pl

Reklama:

Aleksandra Chłodnicka, a.chlodnicka@ncpp.opole.pl

Współpraca:

Sławomir Kuźnicki, Bartosz Suwiński

Korekta:

Krzysztof Szymczyk, korektor@pressmedia.pl

Nakład:

2000 egzemplarzy

Wydawca:

Narodowe Centrum Polskiej Piosenki
ul. Piastowska 14a, 45-082 Opole, biuro@ncpp.opole.pl

ISSN 2299-6273

„Muzyczny Informator Culturalny”

MAGAZYN BEZPŁATNY

MiC
MUZYCZNY INFORMATOR CULTURALNY



Narodowe
Centrum
Polskiej
Piosenki

SZUKAJ NAS W SIECI



KONCERT

BITAMINA

07/04/2019

SALA KAMERALNA NCPP



REPERTUAR

NARODOWEGO CENTRUM POLSKIEJ PIOSENKI

12 stycznia
wośp
**DOBS
REBELIANCI**

18 stycznia
**BONSON
RENO
OKOLICZNY
ELEMENT**

20 stycznia
**ITALIANO
VERO IN LOVE**

08 lutego
TULIA

09 lutego
SZPAKU

15 lutego
TABU

16 lutego
**KASIA
KOWALSKA**

17 lutego
**WOJTEK
MAZOLEWSKI
QUINTET
„KOMEDA”**

19 lutego
**TO
MAŁO
POWIEDZIANE**

01 marca
BEDOES

08 marca
**GANG
ŚRÓDMIEŚCIE**

09 marca
LAO CHE

16 marca
**FISZ
EMADE
TWORZYWO**

TRASA KONCERTOWA PROMUJĄCA NOWY ALBUM „RADAR”

29 marca
DECAPITATED

30 marca
ABRADAB

06 kwietnia
**NOCNY
KOCHANEK**

07 kwietnia
BITAMINA

13 kwietnia
**PUNKY
REGGAE
LIVE**

23 kwietnia
**TO
MAŁO
POWIEDZIANE**